

Trup mnie specjalnie nie interesuje. Ważniejszy jest klimat opowieści

Zanim książka powstanie, **Katarzyna Bonda** „obwąchuje” miasto, w którym ma rozgrywać się akcja, poznaje jego mroczną twarz, przygląda się ludziom, sporządza bogatą dokumentację, zaraża się klimatem miejsc. A potem tworzy bestsellerową powieść kryminalną

Wywiad

Dariusz Pawłowski
d.pawlowski@dziennik.lodz.pl

Gdy chwyciłem Pani najnowszą powieść „Okularnika”, najpierw przestraszyłem się objętości – ponad 800 stron! Ale gdy już zacząłem czytać, okazało się, że wciąga w naturalny, nienachalny sposób i „połknąłem” ją w kilka wieczorów. Wiem, że robi Pani precyzyjny plan każdej książki, ale na ile przy pisaniu takiej historii sama opowieść zaczyna „nieść” autora?

Pierwsza reakcja jest zdrowa, druga dla mnie miła. Właśnie dlatego robię taki szczegółowy plan i obsesyjnie nad nim pracuję, bo fabuła, gdy jest już gotowa mniej więcej w jednej trzeciej, to zaczyna sama „iść”. Dlatego trzeba mieć azymut. Gdy słyszę, że ktoś mówi, iż napisał książkę w trzy-cztery miesiące, to trochę mi się chce śmiać, bo ja minimum cztery miesiące pisałam plan do „Okularnika”. I to jest właściwie najgorsza orka, bo w powieści kryminalnej jest wiele elementów i jeśli wyjmiesz jeden klocek, to trzeba przestawiać wszystko. W trakcie jeszcze ów plan ulepszam, bo spotykam się z rozmaitymi konsultantami i fachowcami w różnych dziedzinach, przyjmuję ich uwagi. Później plan znowu się zmienia, bo jest rozbudowany i mam rozpisane w punktach wydarzenia w każdej scenie. Skracam go więc i wyciągam z niego dramaturgiczną esencję, żeby miał pan poczucie, że całość lekko się czyta, że napięcie nie jest budowane po chamsku, a punkt zwrotny zmienia za każdym razem akcję o 180 stopni. Chodzi o to, żeby wszystkie wątki łagodnie się ze sobą zaplatały. I mimo wszystko sytuacja przypomina wybieranie się w podróż. Gdy się panu wydaje, że jest pan spakowany, ma wszystkie niezbędne menażki, namiot, śpiwór, ortalion i buty na każdą opcję, to w trasie okazuje się, że pewne rzeczy nosimy niepotrzebnie, a innych zabrakło i trzeba je na bieżąco zdobyć.

Pisanie książki jest jednak działalnością trochę tajemniczą. Składa się na to tak dużo elementów, że nikt nie wie, jak to się skończy. Bo rzeczywiście, w pewnym momencie książka autora „niesie”...

I co wtedy z planem?

Przy pisaniu „Okularnika” łapałam się na tym, że mam go pociętego na kawałki i ciągle przestawiam poszczególne elementy. To wynika też z tego, że z każdą kolejną książką chcę podnosić poprzeczkę sobie i czytelnikowi. Świącie wierzę, że czytelnik lubi to, że on nie chce dostawać cały czas hamburgerów, że chce być zaskakiwany. Niektórzy pisarze uwierzyli w słowa wydawcy: „masz swoją strukturę dramaturgiczną, trzymaj się tego, to się dobrze sprzedaje”. Ja uważam, że to jest błąd i zjadanie własnego ogona. Jednocześnie jednak moja postawa jest dla mnie dużym wyzwaniem, bo muszę się odkleić od swoich historii i zapomnieć o poprzednich tytułach. Bym mogła usiąść do nowej książki, musi nastąpić kompletny reset. Nawet gdy w przypadku moich ostatnich powieści łączy je bohaterka, to ona sama się rozwija i w efekcie wszystko się różni, a sama książka jest kompletnie inna niż poprzednia. Uważam, że pisarz musi się mierzyć. A czytelnik to doceni. I zapłaci za książkę.

I tu dochodzimy do pieniędzy...

Oczywiście, one są istotne, książka się dobrze sprzedaje, dzięki temu mogę swobodnie żyć z pisania. Ale pieniądze nie mogą stać się celem. One są skutkiem, nigdy nie pisałam tylko dla nich. Jestem przekonana, że jeżeli najważniejsze stają się pieniądze, to literatura staje się problemem. I nagle w tej samej księgarni znajdują się powieści z gatunku, który uprawiam, które śmiało mogą rywalizować ze znakomitymi przedstawicielami literatury pięknej i takie, które są produktami powstałymi na kolanie. Czytelnik to oczywiście przeczyta, bo przeczyta nawet etykietkę na keczupie: potrafi czytać, jest mądrym człowiekiem i wszystko go interesuje. Ale ja nie chcę da-



► Katarzyna Bonda jest obecnie najpopularniejszą polską pisarką kryminalną, jej książki okupują listy bestsellerów. I zamierza jeszcze długo swoją pozycję zajmować...

wać moim czytelnikom fuszerki, bo mam do nich szacunek. I mój rozwój to mój ukłon i respekt wobec nich. Proszę tylko teraz nie myśleć, że to oznacza, iż moja następna książka będzie grubsza...

Uff...

...Wszyscy moi kumple kryminaliści śmieją się ze mnie, że tak będzie... Ale „Okularnik” jest dlatego tak obszerny, że jeszcze bardziej niż poprzednio rozbiłam gatunek i włożyłam do środka powieść historyczną. I zrobiłam to świadomie, nie dlatego, że tak mi się podobało. Po prostu uznałam, że nie da się wyjąć tego wątku z intrygi. A co oczywiście, jeżeli się czegoś nie da wyjąć z intrygi, to znaczy, że to jest konieczne. Mam zasadę, że podstawą dobrej fabuły jest struktura. A struktura to dobre ułożenie elementów. A dobre ułożenie elementów polega na tym, że jak wyjmiesz jedną cegłę z domku, to się wszystko wali. Dlatego ta książka jest gruba i dlatego te wszystkie elementy w niej są. Następna książka będzie ostro sensacyjna, będę dużo wysadzać i wszyscy chłopcy będą zadowoleni. Czyli znów będzie kompletnie inna.

Czy przy takim podejściu do pisania rodzi się osobisty stosunek do bohatera? I potem boli, gdy coś się z nim dzieje albo trzeba coś z jego historii usunąć?

Do tego się można przyzwyczaić, dziś uważam, że wyrzucanie to podstawa roboty. Z wyrzucaniem największy problem ma grafoman. Na początku, przy pierwszych

książkach, rzeczywiście odczuwałam rodzaj bólu, ale to świadczy tylko o tym, że się jest niedoświadczonym. To jak w dziennikarstwie: pan wie, co buduje historię, a co jest tylko ozdobą. Staram się unikać ozdóbek, pamiętam wtedy o tym, co powiedział Umberto Eco: piękno jest po nic. Rzeczy, które są po nic, są niefunkcjonalne dla fabuły, nie budują ani wątku współczesnego kryminalnego, ani historycznego, który ma doprowadzić do rozwiązania zagadki. Trzeba je eliminować. Drugą podstawową sprawą jest szczerść. Gdy wkładam kij w mrowisko, to do końca. A sprawy, które wydobywam, pokazuję nie prosto, na czarno-biało, ale z całym światłocieniem i skomplikowaniem.

W przypadku „Okularnika” wydobyła Pani sprawy osobiste...

Rzeczywiście, ta książka jest osobista. W trakcie robienia dokumentacji odkryłam, że ta historia mnie dotyczy. Poruszające dla mnie było odkrycie mojej tożsamości narodowej. Głównie czułam się oszukana - jakim prawem ktoś mi odebrał tę wiedzę. I dlatego nie byłam w stanie całkowicie odciąć się od tej historii. Mam wrażenie, że czytelnik to czuje i porusza go ta rozbudowana retrospekcja, dotycząca pogromu. Myślę, że gdybym nie była spadkobierczynią tej „pamięciologii”, to ów fragment nie byłby taki. Wtedy uznałam, że muszę odstąpić od mojej zasady odcinania się od tego, o czym piszę. A wyznaję taką, bo nie pracuję w literaturze pięknej, tylko w gatunku,

który służy przede wszystkim rozrywce i nie chce mojej twórczości transponować przez moje życie, rodzinę, dzieci. W tym przypadku postąpiłam inaczej i postanowiłam przekuć to w atut powieści. Wydawca pytał mnie kilkakrotnie, czy na pewno chce to ujawniać, bo nie dość, że historia dzieje się w moim rodzinnym miasteczku, gdzie mieszka moja mama, to jeszcze się odkrywam. Ale co, miałam siedzieć pod stołem? Skoro przekaz tej powieści jest taki, że dosyć tego milczenia, że trzeba sięgnąć głębiej i to nam wytłumaczy wiele z tego, co się wokół nas dzieje, to muszę zacząć od siebie.

W moim odczuciu w wątku osobistym i historycznym zawarta jest nie tyle potrzeba rozliczenia, co zwykła ludzka złość, że człowiek człowiekowi robił takie rzeczy i że tak długo na ten temat milczeliśmy...

Tak. Tam spotkałam się z „biegunówką”, polegającą na tym, że oni uważają, iż nasz bohater Bury i żołnierze wykleci są be. To mnie też drażniło, bo wiem, że prawda zwykle jest pośrodku. Mało – bez sięgnięcia do genezy, bez przeanalizowania tego, kim był Bury, co go spotkało, że odebrano mu brata i zrobili to Białorusini, że to akurat ci byli źli, trudno wygłaszać jednoznaczne sądy. Tak samo w drugą stronę, trzeba wiedzieć, do czego Bury się posunął. Bardzo nie lubię wrzucania wszystkiego i wszystkich do jednego worka, to trzeba piętnować. Była złość, ale i obawa. Był to dla mnie bardzo trudny moment, gdy odkryłam tę historię, odwiedziłam IPN i zobaczyłam, co się za tym kryje. Czulałam, że należy to wykorzystywać, że fabułę to wzbogaci. Wszystko, co najważniejsze jest między wierszami, więc powieść stanie się bardziej mięsista. Ale nie ukrywam, „cykałam” się. Jestem prostym autorem powieści kryminalnych, kim ja jestem, żeby mówić o takich rzeczach... Jeszcze oskarżą mnie o profanację... Ale postanowiłam to rozbić, przekuć balon i poszukać prawdy. Uważam też, że powieść kryminalna powinna zajmować się poważnymi tematami, nie uznaję poglądu, że jest jakaś granica. W tej chwili, po dokonaniach Anglosasów i Skandynawów, granic już nie ma. Dzięki temu poważne sprawy trafiają do młodych ludzi i prowokujemy ich do tego, by o tym pomyśleli. Bo chyba pan nie myśli, że oni czytają te wszystkie nudne foldery i oficjaliki. Oni sięgnęli po moją powieść, bo oczekiwali, że będzie ich trzymać w napięciu i że to wszystko będzie włożone w przestrzeń rozrywki. Dlaczego rozrywka nie może być prawdziwa, mądra, otwierać oczy... Oni właśnie tego chcą. W Polsce uprawia się jakiś czarny PR, że młodzi ludzie nie czytają, niczym się nie interesują. To nieprawda. Jest wręcz głód wiedzy. Tylko interesująco podanej. I pokazanej z różnych stron.

Czy wśród tych, którzy wiedzieli, o czym chce Pani napisać, byli tacy, którzy mówili, że lepiej tego nie robić?

Tak. Moja mama należała do takich osób. Było ich sporo. Już w trakcie dokumentacji, gdy rozpytywałam o Burego, spotykałam się z nieprzyjemnymi reakcjami. Dopóki nie ujawniałam, że jestem potomkinią kobiety, która zginęła w pogromie, jeszcze wszystko było w miarę w porządku. Ale później postawa ludzi się zmieniła, bo uznali, że teraz moja perspektywa jest odmienna. Jedni podejrzewali, że będę niebezpieczna, inni spodziewali się, że postawię im pomnik. Wysłałam ludziom, z którymi rozmawiałam, moją książkę jeszcze przed drukiem i ciekawe jest to, że niektórzy nie odpowiedzieli. Inni proponowali daleko idące zmiany, mające obronić ich tezę. Zauważyłam też, że często nie byli w stanie oddzielić fabuły, fikcji literackiej od rzeczywi-

stości. Pytali, dlaczego tak straszne rzeczy się u nich dzieją. Ale przepraszam, ja piszę powieści kryminalne, a nie romanse, więc mogli się tego spodziewać, że trup będzie się ścielił gęsto, że będzie się dużo działo i źli ludzie muszą być. Im więcej złych ludzi, tym kryminał lepszy.

Na ile zatem w takim odkrywaniu, konstruowaniu konspektów i budowaniu historii przydaje się Pani doświadczenie dziennikarskie?

Na początku przeszkadzało. Dlatego że są to dwa odmienne typy działalności. Jako dziennikarz musi pan używać skrótów, bo gazeta tego wymaga. Musi więc Pan dokonywać uogólnień, używać czasem stereotypu, by czytelnik zrozumiał, wyrzucić to, co najciekawsze naprzód, do leadu, do ramki. W książce zaś trzyma się to jako as w rękawie. Książka ma kusić, uwodzić i jest zbudowana na emocjach, w celu budzenia emocji. Artykuł ma być rzetelny, oparty na faktach, może pan napisać tylko to, co wie. Tymczasem książkę pisze się sercem. Uważam też, że dziennikarz ma siedem żyć, bo w swojej pracy spotyka znacznie więcej osób niż przeciętny człowiek. Musi pan umieć rozmawiać z więźniem, z ministrem, z królem i ze sprzątaczką. Pisarz zaś umiejscawia się z drugiej strony. Gdy wychodzę z domu, staram się ubierać elegancko, stosownie do sytuacji. Ale siedem ósmym mojego życia spędzam nawet pan nie chce wiedzieć w czym. Siedzę zamknięta w domu, w dresie i w straszym polarze, który dostałam od policjantów z Piły. W dodatku w czapce, bo pałę papierosy, więc ciągle wietrzę mieszkanie. Niesie to ze sobą wiele fizycznych niedogodności, chociażby z tego powodu, że pisarz ciągle siedzi. Poza tym by pisać, trzeba się odkleić od rzeczywistości, więc gdy kończę książkę, wokół mnie jest totalny bałagan. Mało jem, bo szkoda czasu, bo siedzę w powieści. Mam mówić dalej?

Całkowite przeistoczenie. Może być jeszcze gorzej?

Przemiana z dziennikarza w pisarza była trudna. Ale ponieważ jestem osobą twardo stąpającą po ziemi i myślenie analityczne to moje hobby, postanowiłam się uczyć. Zaczęło się od scenariopisarstwa w łódzkiej Szkole Filmowej, bo w Polsce nie było wtedy takich miejsc, gdzie można by się uczyć opowiadać. Wciąż mamy przecież romantyczne podejście, dotyczące natchnień i zapłodnienia przez muzę. Potem wyjechałam uczyć się za granicę i tam mówiono mi rzeczy, które niby wiedziałam, ale wszystkie te dane precyzyjnie mi poukładano. Stąd moja obsesja wynajdywania konsultantów, plany, prawdziwa historia jako punkt wyjścia. „Okularnika” wysłałam do 34 ekspertów z różnych dziedzin. Wszyscy przeczytali całą książkę. I dostałam 34 feedbacki takie, że poszłam do kąta płakać. Ale trzeba włożyć dumę do kieszeni i wszystko przepisać. Dzisiaj wiem, że najważniejsza jest skromność i pokora. Wobec tematu, materii, miłości czytelników, która jest cudowna. I dziś wykorzystuję swoje dziennikarstwo w dokumentacji, umiejętności gromadzenia i selekcjonowania danych, kontakcie z ludźmi, w tym, że jeśli potrzebny mi jest w jakiejś sprawie ekspert, to potrafię znaleźć najlepszą osobę w kraju. Trzeba też pamiętać, że dziennikarze są rozpisani... Umiemy narzucić sobie tryb pracy, a ja postanowiłam, że każdy tom tej tetralogii będzie wychodził co roku. Pracuję obecnie już nad czwartym, co jednak nie oznacza, że trzeci jest ukończony, bo „Okularnik” przed przepisaniem też był gotowy. Wiele osób nie zostanie nigdy pisarzami, bo nie ma dyscypliny. Poza tym ja mogę pracować wszędzie, nie potrzebuję rytuałów, ciszy

i tym podobnych rzeczy. To wszystko wniesione jest właśnie z dziennikarstwa.

Dzięki temu po Pani „Florystce” mogę się popisywać w towarzystwie znajomością tego zawodu.

Zawsze chciałam, by w moich książkach był taki element wiedzy, bo ja też lubię takie książki czytać. Żadną dla mnie przyjemnością byłoby napisanie prostego kryminału. Uważam, że jeżeli ktoś płaci za moją książkę 45 złotych, to musi dostać materiał, który zawiadnie nim kompletnie. A jednym z tych elementów jest wiedza poznawcza, którą dostanie u mnie. Kiedyś sobie z tego żartowano, bo nie każdy tak pracuje, ponieważ jest to upiome. Według niektórych nawet niegodne pisarza. Ostatnio na przykład chodziłam w woderach po bagnach. Teoretycznie nie jest to do niczego potrzebne. Ale nie mogąc zdradzić tego, co wtedy odkryłam, bo będzie to w kolejnej książce, powiem tylko, że nigdy bym tego nie wymyśliła, gdybym na taką wyprawę nie poszła. Takie rzeczy przydają mi się czasem do rozwiązania zagadki. „Florystka” była napisana na pianistkę, a jest harfistka. Zmieniłam ten element, bo też coś odkryłam, a gdybym tego nie zrobiła, nie byłoby takiego rozwiązania. Tego nie znajdzie się w Google. Trzeba to poznać, zobaczyć. I dlatego u mnie znajdzie pan sporo danych. Kiedyś byłam w tym gorsza. W mojej drugiej książce fabularnej, „Tylko martwi nie kłamią”, która jest zachwytem nad Katowicami, bo bardzo mi się to miasto z jego industrializmem spodobało, nie udało mi się całej wiedzy, którą zdobyłam, włożyć inteligentnie w powieść.

Jak zatem pisanie kryminałów wpływa na postrzeganie miejsc? Skoro zachwyca się Pani mroczną stroną miast...

To jedna z moich jazd, których mam zresztą milion. Myślmy, że jesteśmy homogenicznym społeczeństwem. Tymczasem różne polskie miasta i regiony różni wszystko. Począwszy od wykorzystania przestrzeni, po klimat i ludzi, zwyczajnie, mimikę, jedzenie – wszystko. Dlatego przygotowując się do książki, muszę pojechać w takie miejsce i się nim nasycić, znaleźć ulice, gdzie położę trupa, odkryć to, co schowane. Muszę poczuć się tam jak u siebie. A i tak dobrze jest się zabezpieczyć. Gdy wiele razy byłam w Trójmieście i w końcu napisałam „Pochłaniacza”, wszystko sprawdziłam i wysłałam książkę dziewczynie z Gdańska, która mi pomagała w poznawaniu miasta, to okazało się, że na jednej z ulic, którą kazałam uciekać swojemu bohaterowi, a miał się on zmieścić w konkretnym czasie, jest monitoring straży miejskiej. Oblał mnie zimny pot, uchroniłam się przed kompromitacją. I moja zna-

Piszę powieści kryminalne, nie romanse, można się więc spodziewać złych ludzi. Im więcej złych ludzi, tym kryminał lepszy

Katarzyna Bonda urodziła się w Hajnówce. Studiowała dziennikarstwo na Uniwersytecie Warszawskim, ukończyła też scenariopisarstwo w łódzkiej Szkole Filmowej, a potem przez 12 lat pracowała jako dziennikarka w różnych redakcjach. Obecnie wykłada w szkole kreatywnego pisania w Warszawie, utworzyła także własną szkołę i portal o pisaniu

Jako pisarka zadebiutowała w 2007 roku powieścią kryminalną „Sprawa Niny Frank”, za którą została nominowana do Nagrody Wielkiego Kalibru. Jej najnowsza powieść to „Okularnik”, druga część tetralogii, na którą złożyła się też już wydany „Pochłaniacz” oraz planowane „Lampiony” i „Czerwony pajak”

joma biegła inną trasą, by znaleźć rozwiązanie. Może dla niektórych to nie ma znaczenia. Ale wie pan, jakim szacunkiem za to darzą mnie ludzie stamtąd?

To z Hajnówką w „Okularniku” było chyba łatwiej?

Było jeszcze gorzej! Tam się wychowałam, miałam własne wspomnienia, a to miasto wygląda dziś zupełnie inaczej. Byłam zaangażowana emocjonalnie, za dużo znajomych, musiałam więc wynająć hotel, zamiast mieszkać u mamy, by poczuć się obcą. Musiałam też szukać ciemnej strony, bo kryminał potrzebuje mroku. A każde miasto je ma. W każdym szukam jego energii, mechanizmów, które w nim funkcjonują. Do tego stopnia, że na przykład chodzę w danym mieście w to samo miejsce o różnych porach dnia i nocy, by zobaczyć, jak wygląda i jak zachowują się ludzie. Dobre jest to, że i tak tego wszystkiego nie wykorzystuję, do książki wchodzi może trzy procent. Ale gdy zaczynam pisać, otwierają mi się te wszystkie klapki, zapachy, klimaty i łatwiej mi wejść w opowieść.

Czyta Pani coś jeszcze?

Oczywiście. Dla higieny psychicznej czytam dużo klasyki, bo pisząc kryminały muszę czytać wszystko, co w tym gatunku wychodzi. Po pierwsze, sprawdzam co konkurencja robi, żeby mnie nie przegonili. Po drugie, uczę się, bo widzę szwy. Łatwiej zobaczyć błędy na cudzej literaturze niż własnej, bo do własnej mam stosunek emocjonalny, jak do dzieci. Czytam, by być też po prostu czytelnikiem. I rozwijać się, bo uważam, że obowiązkiem pisarza jest rozwijać się dla swoich czytelników. By móc zaproponować im w swoich powieściach wiele warstw. Ja oczywiście robię w literaturze rozrywkowej, więc musi być ona zrozumiała dla jak największej liczby ludzi. Ale musi też pozwalać zainteresowanym na czytanie między wierszami. W przyszłym roku będę tłumaczona na sporo języków. I moim marzeniem jest, by Niemiec, Australijczyk, Anglik, Amerykanin wziął jedną moją książkę i pomyślał sobie: o, tacy są Polacy, jak w Trójmieście. A potem weźmie drugą i powie: o, to oni są jednak inni. Dokładnie to, co zrobili Skandynawowie. Przecież większość z nas wie dzisiaj o Szwecji, Norwegii, Finlandii to, co wyczytała w kryminałach.

Czy tylko kryminał? Czy ramy gatunkowe, które sobie Pani narzuciła, są niezmiennicze?

Nnnnieee... Nie mogę panu nic zagwarantować. Projekty mam ustawione do 2021 roku, bo jestem bardzo poukładana. Ale i tak wszystko idzie w łeb. Kryminał wyszedł u mnie bardzo naturalnie i ta forma zapisu bardzo mi odpowiada, więc nawet jeżeli będzie to innego rodzaju powieść, to nie mogę zagwarantować, że trupa nie będzie. Trzeba jednak pamiętać, że powieść kryminalna przestaje już dziś być kryminałem w tradycyjnym rozumieniu. To już nie jest tylko rozrywka logiczna, gdzie w krzyżówce ma wyjść hasło i to będzie imię i nazwisko mordercy, tylko należy to traktować szerzej. Dlatego nie mówię, że piszę kryminały, tylko powieści kryminalne. I właściwie nacisk należałoby dać na powieść. Uniwersalność opowieści, kwestie obyczajowe, psychologiczne, społeczne są dla mnie najważniejsze. Przyznam się, że trup mało mnie ochodzi. Detektyw musi rozwiązać zagadkę, ale to jest jak rama obrazu. A obraz jest o czymś innym. Uważam, że na tym polega też mój sukces, bo ludzie potrzebują dziś kombajnu gatunkowego, miksu, który mieści w jednej książce wszystko. Żyjemy w takich czasach. I nie wstydę się tego. ● ©©